

Michel Onfray, *Traktat ateologiczny*, przeł. Mateusz Kwaterko,
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2008, s. 244

Bestsellerowa książka Michela Onfray jest w najwyższym stopniu rozczarowująca. Nie dowiemy się z niej niczego, czego już byśmy nie wiedzieli. Zarazem odnosimy przykre wrażenie, że skądinąd słuszne poglądy zostały tu podane w tak groteskowej formie, iż utraciły przez to wiele ze swojego splendoru. Tytuł książki zawiera nieistniejące w słownikach filozoficznych słowo „ateologia”, utworzone przez proste zaprzeczenie „teologii”. Podtytuł, *Fizyka metafizyki*, wydaje się częściowo sugerować zamiar autora, który, jak się czytelnik domyśla, zapewne będzie próbował wykazać, że metafizyka (w tym konkretnym przypadku teologia) okazuje się mistyfikacją, okrywającą zjawiska naturalne. Złudzeniem jest więc jakakolwiek próba szukania „tamtego świata”. „Pokantowskie losy Oświecenia są dobrze znane: Feuerbach, Nietzsche, Marks, Freud i wielu innych. Mistrzowie podejrzeń przygotowali grunt pod dwudziestowieczny rozdział rozumu i wiary, skierowali oręż racjonalności przeciw religijnym fikcjom. Teren został oczyszczony pod nową konstrukcję. Na tym opustoszałym placu metafizycznym może się narodzić nowa dyscyplina. Nazwijmy ją ateologią”. (s. 28)

Jeśli dobrze rozumiem intencje autora, ateologia ma być rodzajem nowej nauki, która zapoczątkowana między innymi przez oświeceniowych teistów, agnostyków i ateistów nigdy nie została ukończona. Chodzi więc o to, aby wyjść poza, jak sądzi Onfray, dotąd jedynie negatywne ustalenia klasycznej krytyki metafizyki, teologii czy religii. Pomijam tu cały kontekst, to znaczy krytycznie nastawioną teologię (z którą ani nie zamierzam sympatyzować, ani jej krytykować). Istotne jest tu tylko to, że Onfray roztrąca pewną iluzję zbudowania naukowego ateizmu (nie wiem, czy bez świadomości istnienia takich prób). By podać przykłady rodzime, moglibyśmy wspomnieć o Andrzej Nowickim, który niegdyś nawoływał do kolektywnego budowania „ateoznawstwa” i „ateografii”. Przykład ten tylko pozornie jest nietrafiony. Wszakże „ateoznawstwo” byłoby jedynie pewną wersją historii filozofii, która gromadziłaby skrupulatnie tę wiedzę historyczną, która ateizmu właśnie dotyczy (ale szerzej także krytyki religii i teologii). W praktyce mogłoby się okazać, że to niemała część historii filozofii w ogóle. Z pewnością Onfray’a nie

zadowala taka archiwistyczna praca, przynajmniej nie na poziomie deklaracji (choć omawiana książka niemal wyłącznie na niej się opiera). Nie chodzi tu bowiem o zbieractwo zużytych i nietrafnych, nie dość radykalnych i niekonsekwentnych idei, ale o tworzenie świata całkowicie i ideowo ateistycznego, o formułowanie wniosków i stawianie imperatywów kształtujących ludzkie życie. Tu właśnie leży problem. Ani Kant, ani Freud ani nawet Feuerbach nie uważali chyba, że coś takiego jest możliwe. Zamierzenie autora jest dość niepokojące, choć przypomina w największym zarysie postępowanie człowieka, o którym Kierkegaard, w jednej ze swych prac, pisze, że chciał iść dalej i nie tylko dwa, ale nawet raz nie zamierzał wejść do tej samej rzeki. Czy Heraklit był nie dość konsekwentny? Czy równie niekonsekwentni byli Kant, Freud czy Feuerbach?

Ateologia, jeśli dobrze rozumiem autora, to nauka o nieistnieniu Boga. Oznacza to, że Onfray (podobnie jak choćby Dawkins) uważa, że kwestia Boga jest rozstrzygalna, że można przedstawić racje, przemawiające za nieistnieniem Boga (i że tylko takie argumenty mają siłę dowodową). Sprawa chyba nie jest tak prosta, jak się ją tu przedstawia. Onfray – świadczy o tym jednoznacznie sposób referowania konsekwencji społecznych i politycznych wielkich monoteizmów – uznaje religię za niewyczerpane źródło zła w świecie. Religii, jak sądzę, mamy się przestraszyć, skoro jest ona realizacją „popędu śmierci” (s. 82). Autor wierzy, że zło zaniknie wraz z zanikiem religii, co świadczy jedynie o jego naiwności, polegającej na przyjęciu błędnego, jednokierunkowego związku pomiędzy religią i – używając pewnego uproszczenia – moralnością. Nie zmienia to jednak faktu, że względy religijne pozostają dla wielu ludzi istotnym motywem ich działania. Nie ma podstaw sądzić, że zawsze motywują one człowieka do zła.

Wielokrotnie wymieniany w omawianej pracy Kant wprawdzie jest tu traktowany nadal jako prekursor oświecenia, które programowo zwalcza przymus sumienia, jednak Onfray zarzuca autorowi *Krytyki czystego rozumu*, że sprzeniewierzył się własnym ideom. Nie wystarczy kwestionować instytucjonalną religijność, błędem jest nadto postulowanie istnienia Boga: „Jeśli trzeba koniecznie coś postulować, postulujmy lepiej nieistnienie Boga, nieśmiertelnej duszy i wolnej woli!” (s. 27). Istotnie, sposób, w jaki Kant wprowadza postulaty praktycznego rozumu zanadto przypomina obronę podstaw doktryny chrześcijańskiej, jednak czyni on tak z przekonania, że dla wielu ludzi pozostaje ona skutecznym sposobem motywowania do postępowania zgodnego z moralnym prawem. Chodzi więc jedynie o porządek moralny.

Oczywiście ateologia nie jest promocją anarchii. Onfray uważa ją raczej za pewną wersję dyscypliny akademickiej, która – w moim przekonaniu – nie różni się zasadniczo od istniejących już historycznych krytyk: „Liczy się tylko sens, jaki możemy nadać temu pojęciu dziś: kry-

tyczna analiza dyskursów dotyczących Boga, próba dotarcia za kulisy monoteistycznej dekoracji teatru świata, filozoficzny demontaż religii” i dalej: „Niniejszy *Traktat ateologiczny* stanowi jedynie wstępną pracę, przygotowanie gruntu. Dalsze dociekania muszą mieć charakter interdyscyplinarny, uwzględniać psychologię i psychoanalizę (badanie mechanizmów funkcji mitotwórczej), metafizykę (ustalenie genealogii transcendencji), archeologię (odczytanie kolejnych warstw kulturowych religii), paleografię (analizę tekstów źródłowych), historię (poznanie epistemicznych uwarunkowań, które odcisnęły piętno na poszczególnych kultach), komparatystykę (rozpoznawanie stałych schematów myślowych w rozmaitych epokach i obszarach geograficznych), mitologię (wydobycie wyznaczników racjonalności poetyckiej), hermeneutykę, lingwistykę, językoznawstwo (studia nad lokalnymi idiomami), estetykę (prześledzenie ikonicznego rozprzestrzeniania się wierzeń). A także filozofię, która ma zespolić te wszystkie dyscypliny. Cel? Stworzenie fizyki metafizyki, autentycznej teorii immanencji, materialistycznej ontologii” (s. 29).

Czytelnik musi być oniemiały po przeczytaniu tych słów, przede wszystkim z tego powodu, że, jak mu się tu wmawia, żadna z wymienionych rzeczy jeszcze nie zaistniała! Nie tylko, że każde z tych zadań z osobna w tej, czy w innej postaci, było już podejmowane, bądź nadal się dokonuje, ale i całość miała swoje realizacje. Wprawdzie wspomniany wcześniej przykład prac Andrzeja Nowickiego odnosił się do prób instytucjonalnej budowy religioznawstwa, jednak w zamierzeniu wyniki miały chyba prowadzić do tego samego celu. A właśnie o zamierzenia tu idzie, a ściślej o ich przewidywalność, wynikającą z tego, że w obu przypadkach zakłada się je z góry. Błąd ten popełniano niegdyś, popełnia się go również obecnie.

Nie ulega wątpliwości, że książka Onfray’a należy do nurtu ateizmu walczącego. Wprawdzie autor wyznacza pewne mgliste cele pozytywne („Stworzenie fizyki metafizyki, autentycznej teorii immanencji, materialistycznej ontologii”), ale doraźne zadanie, które jest warunkiem wstępnym powstania domniemanej ateologii, jest czysto negatywne. Błąd, jaki się tu popełnia, jest dość charakterystyczny i często spotykany w pracach tego typu. Po pierwsze, nie wiadomo, kto i co jest przedmiotem formułowanej krytyki. Autor wprawdzie koncentruje się na krytyce monoteizmów (religii wywodzących się z tradycji biblijnej: judaizmu, chrześcijaństwa i islamu), jednak nie wiemy, czy celem jest teologia, czy może praktyka religijna wiernych, czy może tylko postępowanie, motywowane religijną nadgorliwością. Każdy, kto jest wystarczająco rozsądny, nawet jeśli jest przy okazji teologiem (czyni tak na przykład Hans Küng), przyzna rację Feuerbachowi, Marksowi czy Freudowi i doceni ich dokonania. Zarazem trudno zgodzić się z tym, że „mistrzom podejrzeń” można przypisać monopol do formułowania prawd, dotyczących

religii. Po drugie, Onfray zdaje się zapominać, że ostatecznie racją uzasadniającą nawet wiarę w mrzonki jest leżąca u jej podstawy potrzeba. Mechanizm tworzenia religijnych iluzji – od Kanta, przez Feuerbacha, do Marksa i Freuda – wskazuje na rzeczywiste pragnienie tego, co nie-uwarunkowane w świecie przygodnym, któremu człowiek gotowy jest sprostać nawet za cenę życia w iluzji. Onfray zakłada, że rzeczywista potrzeba człowieka jest inna, bądź, że od pewnego czasu (powiedzmy od XVII wieku) potrzeba religijna w ludzkiej naturze zanikła. Ciągłe utrzymywanie się ruchów skrajnie religijnych, również w obrębie stehniczowanego świata zachodniego, wyraźnie temu przeczy. Naiwna wiara Oświecenia w nieodwołalny zanik religii jest mitem. Choć zarazem nie daje to jednak religijnym ortodoksom prawa do postulowania rzeczywistości Boga.

Książka Onfray'a zredagowana została w formie manifestu, niekiedy wyraźnie stylem nawiązującego do aforystycznego pisarstwa Fryderyka Nietzschego. Sądzę, że to właśnie styl, w jakim książka ta została napisana, być może bardziej niż jej treść, może podzielić czytelników na entuzjastycznych jej zwolenników i wyraźnych przeciwników. Wolałbym, ażeby ktoś, kto z emfazą powołuje się na tradycję racjonalizmu i Oświecenia, użył argumentów, wskazał niezbite dowody i nie twierdził, że komunikuje oczywistości. Musimy się jednak zadowolić wykrzykiwanymi frazesami.

Pod względem merytorycznym chyba najbardziej rażą wyraźnie nietrafne oceny historii filozofii. Domaganie się szczególnego uznania dla Holbacha (s. 50) sytuuje Onfray'a w szeregu osobliwości filozoficznych. Zapewne nie tylko w efekcie spisku autentycznych czy skrytych teistów Holbach został wyparty na peryferie głównego nurtu filozofii. Holbach czy Meslier to wyraziste przypadki ludzi, których filozoficzna sława nie sięga dalej niż sformułowana przez nich krytyka teizmu. Zapewne więcej racji ma Onfray, domagając się rehabilitacji Feuerbacha, ale w tym przypadku rzeczywiście ona zachodzi i to we współczesnej teologii.

Inną osobliwością są poglądy wypowiedane na temat starożytnego atomizmu. Twierdzenie, że Leukippos i Demokryt „odkryli atomy” jest jawnie fałszywe. Autor zapewne sądzi, że odkrycie to zaszło tak, jak odkrycie prątków gruźlicy: „Nie dysponowali oni aparaturą, dzięki której mogliby potwierdzić swoje intuicje; nie mieli mikroskopów, lup, soczewek, musieli zadowolić się zmysłem obserwacji i zdolnością ekstrapolowania dostrzeżonych zjawisk: przyglądając się pyłkom kurzu, wirującym w promieniu światła, doszli do wniosku, że muszą istnieć cząsteczki niewidoczne gołym okiem” (s. 97–98). Bez szczególnej złośliwości pozostaje tylko dodać, że korzystając z dowolnych narzędzi współczesnych nauk, nie można wykazać ani istnienia atomu, ani istnienia Boga. Więcej nawet, na tej samej drodze nie da się również udowodnić, że atom bądź

Bóg nie istnieje. Atom oraz Bóg pozostają raczej kwestią decyzji, którą się podejmuje, bądź nie. Mieszanie w te sprawy nauki jest niedorzeczne z tego powodu, że przypisuje się jej w tym samym momencie takie kompetencje, które sprawiają, że nauką już przestanie być, by przekształcić się w zwalczaną przez Onfray'a metafizykę.

Nie mniejszą osobliwością jest stawiana wielokrotnie teza o nieistnieniu historycznego Jezusa. Pogląd Onfray'a nie jest oryginalny. Chyba najgłośniejszym rzecznikiem tego sposobu krytyki chrześcijaństwa był, dziś już zapomniany, dziewiętnastowieczny filozof, Arthur Drews. Współcześnie nie wysuwa się już takich hipotez, głównie z tego powodu, że są bezproduktywne dla krytyki chrześcijaństwa (religii, monizmu – jak jeszcze sądzi Onfray). Chrześcijaństwo nie jest bowiem wytworem historycznego Jezusa. Wykazanie nieistnienia postaci Jezusa nie miało by dla prawdziwości doktryny chrześcijańskiej zasadniczego znaczenia. Takie zdanie przewija się przez całą protestancką teologię i filozofię religii od XVIII wieku po współczesność. Onfray okazuje się jednak niekonsekwentny w swojej krytyce, skoro, wypowiadając się w tej sprawie, oznajmia oczywistość faktu nieistnienia Jezusa, by zaraz potem złożyć deklarację całkowitej obojętności wobec tej sprawy (s. 126), by wreszcie na koniec formułować własne sądy o... historycznym Jezusie (s. 139). To chyba jeden z najbardziej wyrazistych przykładów niekonsekwencji autora.

Odnosi się też wrażenie, że Onfray tkwi w przestarzałym już paradygmacie, który obowiązywał jeszcze do niedawna, a który wspierał się na nieprzejdanej opozycji pomiędzy religią i nauką. Przypomina się w tym miejscu ciekawa postawa Gottholda Ephraima Lessinga, zwalczającego zarówno ciemną ortodoksję (która chętnie utrzymałaby opozycję rozumu i wiary), jak i liberalną teologię, która w religii usiłowała wszystko zrozumieć i wszystko wyjaśnić. Dzisiaj na ogół nikt rozsądny nie broni żadnego z tych skrajnych poglądów. By to umiarkowane stanowisko zajmować, nie trzeba być wcale kreacjonistą, czy liberalnym teologiem, zapewne nie trzeba być nawet wierzącym.

Wobec Biblii ateologia musiałaby się sprowadzić do czysto naukowej analizy dzieła literackiego, jako wytworu pewnego czasu i okoliczności: „Ateologia opowiada się za radykalnie historyczną lekturą wszystkich rzekomo świętych ksiąg. A także za badaniem ich praktycznych wytworów w dziejach świata” (s. 178). Postulat ten, o czym Onfray nie wspomina, był realizowany już w XVII wieku (Spinoza) i znalazł licznych kontynuatorów, aż po dzień dzisiejszy. Postęp w historycznych badaniach nad Biblią nie zmienia jednak faktu, że religia ma się dobrze, a teologia zdolna jest ignorować ustalenia hermeneutyki biblijnej. Na tej, jak sądzi Onfray, jedynie naukowej drodze osiągamy pewną wiedzę, nie ma ona jednak żadnej mocy sprawienia, by wraz z jej przyrostem zanikała religia (zabobon, idolatria itd.). Po prostu związek pomiędzy wiedzą i wia-

ra, o jakim pisze z poczuciem oczywistości Onfray, nie zachodzi. Zdaje się, że już w Oświeceniu, gdzie idea ta się zrodziła, powstały również pierwsze wątpliwości odnośnie do jej zasadności.

Zaletą tej rozprawki jest dołączona bibliografia. W istocie jest to zwięzła, tematycznie uporządkowana prezentacja autorów, a w niektórych przypadkach również książek, poświęconych tematyce, która mogłaby stanowić treść postulowanej „ateologii”. Niektóre uwagi są bardzo krytyczne. Wyraźnie podkreśla się tu pewne braki wcześniejszych bądź nowszych opracowań, które sprawiają, że jedynie pretendują one do ateologii, w rzeczywistości tkwią nadal jeszcze w dawnym, teistycznym paradygmacie.

Książek, mających aspiracje do krzewienia laickiej kultury, ukazało się w Polsce niemało. Znaczna ich część prezentuje o wiele wyższe walory niż praca Onfray’a. Jeśli można wymienić niektórych autorów: Witwicki, Kotarbiński, a współcześnie: Stanosz czy Chwedeńczuk. W sukces promocji ateizmu w wydaniu Onfray’a nie wierzę. Nie ma żadnej metody w szyderstwie z czyjegoś złudzenia. Jeśli ludziom odbiera się ich złudzenia, trzeba im dać coś w zamian. Co może dać ateologia? Marksistowski materializm dialektyczny? Współcześnie wydaje się to osobliwe. Pytanie o Boga pojawia się u człowieka naturalnie, w odpowiedzi na nie człowiek wcale nie musi się jednak identyfikować z jakąkolwiek tradycją religijną ani historyczną metafizyką. Dobrze, gdy ma się tego świadomość.

Tomasz Kupś